

Manifest finansistów międzynarodowych

Manifest finansistów międzynarodowych spotkał się u nas z powszechną naogół krytyką.

Znaleźli się jednak i tacy, którzy unikając bliższego rozpatrywania samego manifestu, przytoczyli rozmaite ogólnikowe rozważania, mające na celu

obronę samych jego instancji i zasad.

Podpisanie manifestu przez niektórych polaków, z początku potępione, zostało potraktowane następnie w sposób pełen różnych restrzykcyj tak, że

ostateczny sąd o tym fakcie się zaciemnił.

Jeden z poważniejszych ekonomistów polskich wyraził się nawet, że dodatnią stroną manifestu jest zgromadzenie pod jednym i tem samem wystąpieniem podpisów finansistów różnych krajów, co świadczy jakoby o chęci dojścia do porozumienia. Zapomniał tylko dowiedzieć,

czy to porozumienie miało być na naszą korzyść, czy szkodę.

Ażby ułatwić zorientowanie się w tem, czym jest istotnie głośny dziś manifest, należy bliżej rozpatrzyć:

co on istotnie w sobie zawiera, kto go wydał i do czego zmierza.

MANIFEST POMIJA RZECZY NAJWAŻNIEJSZE

Manifest składa się z krótkiego zdania wstępnego o zaniepokojeniu finansistów przeszkodami, jakie widzą na drodze powrotu do szczęśliwości (dobrobytu), oraz składa się z pięciu niezbyt obszernych ustępów.

Naogół manifest jest niez-

miernie krótki, więc łatwem jest bardzo na podstawie analizy jego treści wyrobić sobie o nim sąd należyty.

Wobec tego, że wstęp manifestu mówi o

powrocie do dobrobytu,

należałoby sądzić, że następne pięć ustępów rozwina ten temat w ten sposób, by sposoby tego powrotu stały się jasne i z tych ustępów wypływały.

Tęsknota za powrotem do

dobrych przedwojennych czasów

jest tak silna w całym świecie, że każdy, pragnąłby znaleźć wyjaśnienie,

dłaczego dziś trudniejsze są warunki życia niż było to przed wojną.

Przed tym dylematem stoi dziś cały świat, my, Niemcy, Anglicy, Francuzi i wielu innych.

Jedni upatrują główną przyczynę dzisiejszych trudności w tem, że wojna dokonała wielkich, a nie naprawionych zniszczeń i krzywd, że podniosła ogromnie ciężary państwowe, inni wskazują na to, że bolszewizm wykreślił z orbity rynków światowych znaczną część Europy i Azji, że narody i państwa pozaeuropejskie zdolały wyemancypować się ekonomicznie, rozwijając własny przemysł, a Ameryka zamknęła się przed imigracją i stworzyła stan supremacji nad Europą. Jeszcze inni podnoszą, że państwa w czasie wojny i po niej rozwinęły nadmiernie system pieniądza papierowego, przez co zniszczyły kapitał ruchomy.

O tych wielkiej miary zagadnieniach

w manifestcie niema ani słowa.

WŁADYSŁAW GRABSKI

(D. c. n.).

Baczność kupcy i rzemieślnicy... Za polską nierogaciznę -- zagłada rzemiosła? Za kulisami rokowań polsko-niemieckich w Berlinie

Wyrażaliśmy już w ABC obawy o przebieg rokowań polsko-niemieckich, prowadzonych w sprawie zawarcia traktatu handlowego. Wspominaliśmy, że o ile Niemcy podnosiły sprawę osiedlania się Niemców w Polsce jako najważniejszą kwestję, o tyle nasi delegaci na czoło zagadnień wysuwali zawsze kwestję czysto gospodarczą.

Tymczasem z Berlina nadeszły alarmujące doniesienia.

Dzienniki niemieckie wspominają, jakoby przedstawiciele polscy poszli na ustępstwa.

Niemcy mieli się zgodzić na ustępstwa w sprawie wpuszczenia do siebie polskiej nierogacizny i bydła — natomiast nasza delegacja jakoby wyraziła zgodę na swobodne osiedlanie się w Polsce kupców i rzemieślników niemieckich, a nie zgodziła się na osiedlanie się dowolne każdego przybysza z Niemiec.

Wiadomość ta jest wysoce niepokojąca i — chcemy wierzyć — nieprawdziwa.

Niemcy cierpią na brak żywności, a przede wszystkim zboża i produktów mięsnych. W ich interesie leży nabycie tego towaru po takich cenach. Dlatego też ewentualne ułatwienia z ich strony dopuszczenia naszego bydła i nierogacizny do Niemiec po-

krywają się całkowicie z ich potrzebami i z ich interesem.

U nas kupiectwo i rzemieślnicy nie mają się najlepiej. Z ankiet, prowadzonej na łamach ABC widać, iż nie powodzi się im najlepiej, a ograniczanie ciągłe warsztatów pracy, trudności kredytowe fatalnie odbijają się i na kupcu i na rzemieślniku.

Dopuszczenie bez ograniczeń osiedlania się niemieckiego kupca i niemieckiego rzemieślnika — w Polsce może w naszych dzielnicach zachodnich odbić się fatalnie, a nawet w centrum kraju może się dość silnie odczuć naszemu przedsiębiorcy. Nie zapo-

minajmy, że zaraz za niemieckim przemysłowcem przyjdą do nas wytwory fabryczne niemieckie, które stworzą u nas samych poważną konkurencję wytworom rodzinnym.

Zwracamy na to uwagę naszemu rękodzielnemu i naszemu kupiectwu. Niechaj zbadają natychmiast szczegółowo stan rzeczy i niechaj podejmą zaraz alarm u naszych władz.

Trzeba działać szybko, bo niebezpieczeństwo jest większe, niż nam się zdaje.

Panowie kupcy, panowie rzemieślnicy! — do apelu i obrony!

Opłaty telefoniczne

Czy będą jeszcze podwyższone

W lutym r. b. zarząd Pol. Ak. Sp. Telef. przedstawił ówczesnemu Ministrowi Przemysłu i Handlu propozycję podwyższenia opłat telefonicznych o 50 proc. ze względu na wzrost kosztów robocizny.

W październiku r. b. Min. P. i H. zezwoliło na podwyższe-

nie tych opłat o 25 proc., polecając jednocześnie zbadanie kalkulacji następnych 25 proc. specjalnej komisji międzyministerialnej.

Wczoraj komisja ta rozpoczęła swą pracę przez wysłuchanie zdania o tej sprawie zarządu Pol. Akc. Sp. Tel.

Robotnik zamordował fabrykanta

Dziś staje przed sądem

ŁÓDŹ, 26.10. — Tel. wł. — szej rozpaczy ze względu na W dniu dzisiejszym Sąd Okręgowy rozpoczął rozpoznawanie sensacyjnej sprawy, mającej ciekawe podłoże społeczne. Mianowicie głośną była przed kilku miesiącami sprawa tragedii, która rozegrała się w murach fabryki przy ulicy Cegielnianej. Zredukowany robotnik Stanisław Jabłoński w najwyż-

szej rozpaczy ze względu na grożący mu głód, po sprzeczce z fabrykantem Józefem Dobranickim, który odmówił kategorycznie przyjęcia go do fabryki, dobył rewolweru i trzema strzałami położył Dobranickiego trupem na miejscu. Dzisiaj pierwszy dzień rozprawy. Sprawa budzi wielkie zainteresowanie.

BOLESŁAW ORLIŃSKI

28)

Przedruk zastrzeżony.
Copyright by „ABC”. Warszawa.

Mój lot Warszawa-Tokio-Warszawa

Wreszcie po blisko czterogodzinnym locie nad pustynią dojrzałem czarną linię, na odległości kilkunastu kilometrów geometrycznie prostą. Była to potrzebna mi kolej żelazna, na którą wyszedłem na jakieś 50 kilometrów za Cichikarem. Równocześnie rozróżniłem łagodne kontury gór Chingajskich. Mając doskonale drogowskaz w postaci kóry nie miałem już kłopotu z przedstaniem się przez górę.

— No, teraz to już zupełnie tak, jakdybym był już w Cichie, rozmyślałem sobie, wylatując nad równinę, która ciągnęła się hen, aż po wzgórze Altajskie.

Ze jednak jeszcze w Cichie nie jestem, przypominała mi olbrzymia chmura ciągnąca na mnie od północy. Zwiększyłem obroty silnika i co sił rozpocząłem uciekać przed burzą. Powiodło mi się. W pół godziny po moim przelocie na szlaku rozpętała się burza, która napewno mnie zmusiła do lądowania. A lądowania na terytorjum chińskim chciałem uniknąć za wszelką cenę. Los jednak chciał inaczej.

Gdy stu zaledwie kilometrów brakowało mi do granicy rosyjskiej, rzuciłem okiem na zegarek oliwny. Zrobiło mi się jakoś nieswojo: zamiast 3 kilogramów ciśnienia, zegarek wskazywał prawie zero.

A więc zbiornik oliwny jest pusty? A więc lada chwila wytopią się łożyska i motor przestanie być zdolny do dalszego użytku?

Krzyknęłam o swoim odkryciu Kubiakowi, — on jednak nie mógł mi nic na to poradzić. Jedynym ratunkiem było jaknajrychlejsze lądowanie. Ale gdzie lądować?

Lotnisko miałem wszędzie pod sobą, ale jedyną

miejscenością, w której mogłem liczyć na otrzymanie smaru była stacja Mandzurja, położona tuż nad granicą. Czy pociągnie silnik jeszcze te 60 kilometrów, — zagadka. Poleciałem dalej, oczekując lada chwila katastrofy.

Widocznie jednak w karterze zgromadził się pewien drobny zapas oliwy, który mi pozwolił dotrzeć do Mandzurji. W odległości czterech kilometrów od miasteczka wylądowałem na stepie. Dystans wprowadzie przebyliśmy nienajmniejszy — 1.650 kilometrów, lecz przecież zaledwie 400 kilometrów brakowało nam do Czyty!

Lądowanie nasze spostrzeżono z miasta. Tłum rozgadanych chińczyków otoczył wkrótce samolot, który stał się przedmiotem ich natrączywej ciekawości. Wkrótce nadjechał jakiś kapitan ze sztabu, przejrzał podejrzliwie nasze dokumenty i schował je do kieszeni.

— A kiedy otrzymamy nasze dokumenty z powrotem? Chcielibyśmy jeszcze dzisiaj lecieć dalej, — zwróciłem się do niego po rosyjsku.

— Dzisiaj? To wykluczone. Panowie lądujecie sobie dlaczegoś tutaj, właśnie w Mandzurji, odległej o cztery kilometry zaledwie od granicy. Ja muszę w tej sprawie skomunikować się z Mukdenem. A tymczasem możecie panowie jechać do miasta, — przy samolocie pozostanie warta.

Po chwili zjawił się inny chińczyk w towarzystwie przeraźliwie rudego angiela, przystrojonego w kostium marynarza z jakiejś taniej operetki. Byli to urzędnicy celni. Łakomie, jak cenną zdobycz, obejrzeli samolot i zabrali się do szczegółowej rewizji. Jakże się wówczas cieszyłem, że wszystkie upominki japońskie wysłał mi do Polski morzem, nie przez Chinę!

Kubiak, który w międzyczasie majstrował przy motorze, przyszedł do mnie.

— Panie poruczniku, rady dać sobie nie mogę z tymi „kitańcami”. Łażą wszędzie jak te małpy, — jeszcze co uszkodzą...

Na szczęście chińczycy rozumieli dobrze leksykon „mocnych wyrazów” rosyjskich. Uzupełniłem to przemówienie do nich wiele obiecującymi gestami.

— A cóż tam z oliwą?

— Widocznie to japończycy w Heidzio zbyt mało naleli, bo izolacja na rurce jest na miejscu.

— Japończycy w Heidzio nie doleli?... wydało mi się to mocno podejrzane. Nie było to podobne do japończyków.

Same miasto, a raczej osada Mandzurja nie mogła nam niczem zaimponować. Małe drewniane domki, wąskie, brudne uliczki, niemrawe postacie na ulicach, — oto i wszystko.

Rozpoczęliśmy przede wszystkim poszukiwania rycyny. Do celów technicznych nikt jej w Mandzurji nie używa, mogliśmy więc znaleźć jedynie w aptece jakiś zapas. Istotnie w jednej aptece znaleźliśmy 20 kilo rycyny, w innej — 5. Geolocaliliśmy z rycyny całe mięso, narażając jego mierzkańców na wielką niedogodność. Do tego dokupiliśmy pięć butelek oleonaftu. Zmieszaliśmy to wszystko razem, — zapasu tego musiało nam starczyć aż do Czyty.

Teraz rozpocząłem zastanawiać się nad tem, w jaki sposób wydostać od chińczyków nasze papiery.

Przedewszystkiem musiałem odnaleźć chińskiego kapitana, który zabrał wszystkie nasze dokumenty. Dopomogli mi w tem oficerowie rosyjscy, którzy dość licznie zamieszkują w Mandzurji poza wpływami nieprzyjaznej dla nich władzy sowieckiej.

— Niestety — oświadczył kapitan — zatelegrafowałem do Mukdena, lecz odpowiedzi dotychczas niema.

— No, a jeżeli oni tam przez miesiąc będą się namyśleli, co będzie wówczas? Czy będę przez miesiąc tutaj siedział?

— Nic panu na to nie poradzę — odrzekł żółtoskóry kapitan, wzruszając ramionami.

(C. d. n.)